

Rozdział 15.

Długo, nieskończenie długo błąkali się po tej Dolinie Umarłych, odległej od wszystkich znanych im rzeczy. Gdyby byli prawdziwymi Kuberianami, dawno już, pokonani chłodem złożyliby swoje ciała wśród wszechobecnych tu cichych sąsiadów. Jednakże tak się nie działo i mogli zagłębiać się w historię, mieniącą się swoimi odpryskami na ścianach sarkofagów. Najciekawsze były te na wpół druzgotane i pozbawione swoich makabrycznych pasażerów. W przeciwieństwie do pozostałych starały się opowiedzieć o czymś więcej, niż tylko o panicznym lęku przed umieraniem i związanymi z nim teologicznymi nadziejami. Ma ich ścianach gościły niezwykle pejzaże, podobne do poprzesuwanego puzzli, pełne roślin i zwierząt, obdarzone poematami, które niekiedy niosły w sobie ciepłe i liryczne piękno. Niekiedy, pośród znaków i kuberiańskich sylwetek płonęły gwiazdy, widoczna też była powierzchnia planety z budowlami podobnymi do znanych im już pocisków.

Może z uwagi na to wyglądanie na zewnątrz jaskiniowych krain celowo uszkodzone grobowce posiadały baldachimy, które przy największych kaplicach urastały do rangi dziwacznych, grzybiastych kopuł, zbyt mocnych i nadmiernie ciężkich, by mogły ucieszyć pierwsze ze spojrzeń Ziemianina. Widać było doskonale, że ci, których świat zawsze posiadał naturalne sklepienie z ogromną nieufnością imitowali je na użytek mieszkań żywych i umarłych.

Wreszcie, po wielu korzeniach, odnaleźli coś, co nazwać wypadało „Główną Aleją” i po dłuższym marszu przez ten cmentarz znaleźli się przy łuku wejściowym. Ujrzeni tam wpółotwarty budynek przebieralni, gdzie automat, po wrzuceniu muszlowatej monety, wydawał ciepły strój na użytek odwiedzających. Był to bardziej specjalny skafander, niż zwykłe ubranie. Sądząc po stopniu zakurzenia posadzki przebieralni, częste wizyty na cmentarzu nie były zwyczajem

Kuberian z tego kraju. Ledwo znikła za ich plecami brama nekropolii, ich zmysły poraził wielkomięski ruch. Szerokie, uginające się od pojazdów pasy magnetyczne tonęły w nieodgadzionych dla ich percepcji kanionach budynków. Byli zadziwieni. Niezwykła była bliskość tej opuszczonej i mroźnej nekropolii od żywego i gwarne go miasta. Odnieśli wrażenie, jakby ktoś wstawił kilka hektarów Bieguna Południowego Ziemi, wraz z całym jego osamotnieniem, do samego centrum Delhi.



Jednakże, to co z pozoru dziwne i niezwykle, zawsze ulec

musi mniej, lub bardziej wnikliwej analizie. Gauri wypatrzyła szerokie pręty żarowe, ogrzewające atmosferę tej części miasta. Były one znacznie młodsze od najnowszych z piętrzących się nad nimi kamienic. Na niektórych chodnikach widoczne były również pozostałości starszych systemów grzewczych, mające postać nie niosących już niczego przesęt porwanych akweduktów.

- Lawa bywa bardziej kapryśna od wody naszych strumieni – rzekła do swoich towarzyszy. – Nie rządzi nią bowiem deszcz, ale powolne narastanie grawitacyjnych napięć w trzewiach tej planety.

Jakby na potwierdzenie jej słów nastąpiło dość silne trzęsienie ziemi. Grunt podrzucał ich Spojrzenia wysoko w górę w najzupełniej chaotyczny sposób. Kataklizm musiał mieć potężną siłę, byli zatem przekonani, że gruz rozpadających się budynków przerwie niebawem ich badawczą eskapadę. Nic takiego się jednak nie działo. Choć wszystko drżało, budynki kołysały się miękko na podobieństwo źdźbeł trawy na wietrze, zaś pasy magnetyczne nie wypuszczały ze swoich objęć mknących po nich pojazdów. Dostrzegli, że nawet piesi przechodnie, wrzucani w górę równie wysoko i bezładnie jak oni, opadłszy na ziemię ogarniali się szybko i bez większego podniecenia kontynuowali swoją uprzednią wędrówkę. Gdy kataklizm ustąpił, nie pozostawił po sobie żadnego śladu. Takie przynajmniej było ich przypuszczenie, gdyż nie sięgali swoimi zmysłami zbyt daleko.

Znalezienie jakiegoś przejścia dla pieszych przez wielkowiejską aleję okazało się dość kłopotliwe. Musieli zacząć śledzić napotkanych przechodniów, by wreszcie dostrzec, jak to się robi. Okazało się, że dość gęsto wzdłuż drogi umieszczone są przyciski zatrzymujące na jakiś czas ruch drogowy. Samo przejście było jakby pasem transmisyjnym, który nagle wyłaniał się z powierzchni jezdni. Wystarczyło na nim stanąć, by w zawrotnym tempie zostać wystrzelonym na przeciwległy chodnik.

Przed ich zmysłami ukazało się i zadźwięczało wkrótce wiele wspaniałych budowli. Odczuwali je bardziej kompletnie, gdyż od fundamentu po dach były otulone żarowymi siatkami, których blask przenikał do krótkowzrocznej percepcji Kuberianina. Wrażenie chaosu i rozerwania, towarzyszące im wciąż w spojrzeniach, spotęgowało się jeszcze, dzięki tej niezwyklej mieszance perspektywy zbieżnej i kubizmu. Widzieli i słyszeli potężne i symfoniczne megality, kopuły, grzebienie i bazaltowe chmury, scalone wstępami wijących się dróg i biegnących wszędzie wież, podobnych bardziej do jaskrawych dźwięków fletów, niż czegoś, w czym można stanąć, zamieszkać i odpocząć. Niepowstrzymany ruch piętrzących się murów, dzikich i nieokiełznanych, zapewniał ich, że żadna społeczność nie tworzy swoich miast. One wzrastają z natury, posługując się mięśniami tej czy innej populacji i myślami nielicznych architektów, z których żaden nigdy nie pozna całości przestrzeni i czasu. Fragmenty się łączyły, zaś ich klejem były wojny i chwile prosperity mieszkańców. Wtem jakiś przechodzień zbliżył się do nich niezauważony.

- (obraz) – zagadnął trochę niewyraźnie. – Nie pochodzę stąd, czy mogliby państwo mi wskazać, jak mogę dojść lub dojechać do (obraz)?

Zdumieni niedorzecznością tej sytuacji poczuli jak kropla uderza w gładką powierzchnię wszechświata. Dopiero teraz odkryli dla siebie w pełni, jak odległa jest od ich domów ta codzienność, w której byli teraz zanurzeni. Wszechświat powielał i rozrzucał niedbale swoje algebraiczne funkcje, swoje fraktale i wzory.

- Gdzie jesteśmy? – spytał się w myślach Czandra. – Czy jesteśmy w ogóle żywi i czy w ogóle jesteśmy? Czy istnieją dla nas sensowne pytania, czy możemy je usłyszeć i spróbować odpowiedzi? Niedawno czytałem swój zeszyt, którego nie napisałem. Teraz nie mam nawet tego zeszytu...
- Bardzo ładne – powinszowała mu Gauri, – masz talent

poetycki mój Heathcliffie. – po czym dodała dźwięczniej i barwniejszym obrazem, na użytek przechodnia. – Niestety, my również jesteśmy nietutejsi...

- To jest jak gotowa symfonia – ucieszył się Ludwik, gdy intruz już się oddalił. – Słyszę to miasto, odczuwam, jak jego poszczególne tematy melodyczne spierają się i godzą...

Pokiwali głowami, ucieszeni, że kompozytor, będąc wraz z nimi, wyciągnie najbardziej owocne wnioski z tej całej przygody. Dziwne, afirmacyjne formy miasta zdawały się ich pożerać. Udali się do kilku mniej, lub bardziej starych świątyń i mimo ich ponurości chłonęli chciwie piękno pnących się śmiało proporcji łuków i kolumn. Cieszyli się, że mogą podziwiać abstrakcyjne wzory celowo ocieplonych sklepień. Okien tu oczywiście nie było, ale wyznaczone kapryśnymi liniami płaszczyzny ścian mieniły się i dźwięczały wielobarwnie. Jak doszli do wniosku, ów misterny efekt możliwy był dzięki oblicowaniu murów ceramicznymi kaflami o różnych właściwościach. Tę różnorodność osiągnęli twórcy z pomocą różnych typów gliny i kamienia, a także poprzez odpowiednie napowietrzanie wypalanych płyt i stosowanie odpowiednich typów glazur i pigmentów. Następnie, dzięki umieszczonym we wnętrzach źródłom żaru, te różnorodne płaszczyzny ożywały i zdradzały swoje historie, najczęściej piękne w formie i głupie w treści.

Zauważyli i usłyszeli też, że w wielu starszych świątyniach płynęła kiedyś rozświetlająca je lawa i ciepła woda. Zwykle, przez środek naw wielkich budowli biegły kanały, nad nimi zaś wznosiły się strome mostki. Dno tych kanałów wyłożone było szczególnie wytrzymałymi na żar kompozytami różnych materiałów. W pewnej odległości od nich wiodły dawne, kamienne nadbrzeża, gdzie zapewne kler i inne uprzywilejowane kasty zostawiały swoje pierścienie zarodnikowe. Do potoków lawy dochodziły też wodne kanały, nie łącząc się z płynną magmą, lecz nagrzewając się od niej.

Następnie wiodły swoje rozgrzane nurty do geometrycznych sadzawek, porozmieszczanych w bardziej peryferycznych miejscach budowli.

O ile lawy nie było w żadnej ze świątyń, które odwiedzili, o tyle w największych i najbardziej okazałych zachowano wodę w kanałach i sadzawkach, podgrzewając ją w bardziej sztuczny sposób. Dopiero wtedy mogli docenić trafność na poły intuicyjnego kunsztu architektów. Łuki, kolumny i przesła, wraz z barwnymi mgłami kamiennych jeziorok komponowały się w urzekające, oniryczne ogrody. Jakby dla kontrastu, krainę czarów wypełniały również konające ciała torturowanych heretyków, umieszczone w niszach od dawna już do tego celu zaprojektowanych, a zaciekłych geologicznymi pokładami płynów organicznych i cierpienia. Chcieli zagadnąć któregoś z biedaków, lecz byli poddani tak okrutnym okaleczeniom, że nie mogli już komunikować się z otoczeniem. Zabytkowe kompleksy zatrudniały najwyraźniej najlepiej wykształconych katów.

- Istota opętana wyrosłą z lęków religią chce, by wszyscy z którymi może się skomunikować, byli z nią zgodni – zauważyła Gauri. – Jedyne wspólnota w ciemnocie i szaleństwie pozwala jej cieszyć się brakiem wątpliwości. Żyliśmy w bardzo podobnym świecie.
- Sądzę, że mój świat jeszcze bardziej przywodził na myśl ten tutaj – dodał i zarysował geniusz kompozytora.
- Naszą torturą jest tak zwane „człowieczeństwo” i „zdrowy rozsądek” – odparła i wyobraziła dziewczyna. – A także przekonanie o tym, że wszystko jest tak samo prawdopodobne (w domyśle, „jedyna słuszna koncepcja Człowieka, najbardziej”). Mało kto zatem w dzisiejszych czasach smaży swoich oponentów na ruszcie, czy wyrывa im flaki. Jednocześnie jednak arogancja mierzenia rzeczywistości Człowiekiem jest jeszcze głośniejsza i bardziej jadowita. Nielicznych mądrych nie łamie się zatem kołem, ale tym bardziej prześladowuje psychicznie. Myślę, że dziś na Ziemi ludzie są jeszcze bardziej

fanatyczni niż w twoich czasach Ludwiku, a także niż w moich, bo upłynęły już dwa stulecie odrzucania nauki na rzecz bełkotu ksiąg obiecujących ludzkości wyjątkowość i życie wieczne.

- Czy odprawiliście już obrzęd (obraz)? – zapytał i zakreślił kapłan, który pojawił się z nienacka.
- Och, robiliśmy to już wcześniej, wasza świątobliwość – zauważył i odmalował Czandra.
- Lepiej to zrobić teraz – nie dawał za wygraną diler jedynej prawy. – Im więcej razy, tym więcej ciepła po śmierci – przypomniał bardziej dobrotliwie.
- Przejmę odruchy Spojrzeń – zaproponowała w myślach Ziemi i Ludwika Wadź. – Wytwarzanie nowych nie nastęca mi większych trudności, ale z natury jestem oszczędna.

Zgodzili się i bełkocząc jakieś dziwne obrazy powielali ruchy kapłana, co rusz podskakując, połykając jakieś święte substancje i rzucając muszelki do szkatuł, co nie było obowiązkowe. Kilko błąkających się po świątyni Kuberian zaczęło podziwiać ich pobożność, co oznaczało, że studia Wadź na odruchami kuberiańskiej żywieli były coraz bardziej staranne i gruntowne. Oczywiście, Gauri, Czandra i Ludwik czuli się co najmniej dziwnie. Nie mając wpływu na to co robią, czuli się jak duchy oderwane od własnych ciał, przez co cała absurdalność pełnego ignorancji obrzędu jawiła im się w silny i wyrazisty sposób. Do tego wszystkiego nie opuszczała ich myśl o bezgranicznym ogromie kosmosu i czekających ich jeszcze dalekich podróżach, o Ziemi oddalonej teraz od nich o miliony lat świetlnych.

- Ciekawe – pomyślał Czandra, gdy jego postać wciąż mruczała jakieś fanatyczne psalmy, – czy ktokolwiek z moich wielce religijnych znajomych zmieniłby się będąc na moim miejscu? Przypuszczam, że nie. Chuć wiecznego istnienia tym bardziej kazałaby mu chwalić pana rajskich ogrodów, czy Krisznałoki (czyli rajskich ogrodów boga

Kriszny).

- Pomyśleć, że zgodziłem się skomponować dwie msze – wściekał się w myślach Ludwik. – Tę ostatnią, uroczystą tworzyłem z ogromnym oddaniem, nic nie jedząc i zwalniając natrętnych służących. Myślałem wprawdzie, że tworzę ją dla ludzkiego ducha, który winien zerwać kajdany niewoli i zbudować społeczność prawą, oddaną rzeczom mądrym – sztuce i nauce. Ale mszę? Jak mogłem?! Ludwiku, ty głupcze... Wiara w ludzkiego ducha to tak samo, jak wiara w owego pana jedynych prawd. Egotyczny i okrutny obłąd. Następny mój utwór poświęcę wschodowi słońca, albo gałązce trawy. To zjawiska piękniejsze i większe od tych ohydnych obsesji zmieniających w rubaszną groteskę piękny poemat przypadkowego istnienia. Czy nie patrzę na wszystko oczami wszechświata? Czy nie jestem po prostu jednym z jego miriadów oczu, jednym z jego nieskończoności aktywnych na moment obrazów, które mogą się rozpoznawać i współtworzyć, by dać miejsce dla nowych nieoczekiwanych przemian...
- (obraz, obraz, obraz...) – bełkotał Kuberiański ksiądz czyniąc najbardziej dziwaczne gesty, zaś jego macki falowały w najwyższym mistycznym uniesieniu.
- To gorsze niż programy w metrze – jęknął w myślach Czandra. – (obraz, obraz, obraz) – bełkotał w tym samym czasie.
- (obraz, obraz, obraz) – bełkotali kuberiańscy dewoci, zachwyceni tym, że mogą się oddać praktykowaniu pobożności przed oficjalnym nabożeństwem.
- (aaa...,aaa...,aaa...) – jęczał okapujący posoką skatowany heretyk, który zapewne poprzez męczeństwo doznał nawrócenia, lub też wciąż pozostawał wierny swojej wersji tego obłądu i w akcie dywersji próbował nią storpedować odmianę szaleństwa wyznawaną przez swoich prześladowców.
- To wszystko jest wysoce moralne, jakby stwierdziła większość Ziemiań – pomyślała ironicznie, ale też trafnie Gauri, – proszę bardzo – modlitwa, bóg jedyny i

życie wieczne. Czegóż więcej trzeba? Chyba tylko rozmnożyć się, pospać i pojeść...

Po korzeniu obrzęd się skończył i Wadź, nie bez ulgi, oddała im kierowanie Spojrzeniami.

- (obraz!), jesteście bardzo pobożni – stwierdził i namalował z zachwytem jakiś Kuberianin.
- (obraz), cóż, staramy się – odrzekła i namalowała obłudnie Gauri. – Tak poza tym to zwiedzamy to wspaniałe arcydzieło architektury. Nie jesteśmy stąd i bylibyśmy wdzięczny, gdybyście mogli nam coś o tych wspaniałościach opowiedzieć.
- To symbolizuje (obraz), sam święty (obraz) tu bywał i odbywał swoje obrzędy – stwierdził i zarysował z dumą Kuberianin.
- Tak, to bardzo ciekawe! – zachwyciła się nieszczerze dziewczyna, – lecz chcielibyśmy wiedzieć coś o formodźwięku w bardziej abstrakcyjnym ujęciu...
- Ależ to jest bardzo abstrakcyjne i uduchowione – rzekł i odmalował Kuberianin, – pomyślcie, sam święty (obraz) tu był. To przecież jest najistotniejsze, rozdarci między przemijającą doczesnością a duchową ekstazą Ciepła możemy marzyć o tych największych z nas dzięki takim budowłom jak ta tutaj. Oni nadali nowy wymiar naszym mackom i składaniu pierścieni. Każdy kto myje macki jest rozdarty pomiędzy skrobaczką do mycia, a tym co tkwi wewnątrz nas, czyste bez mycia, nieśmiertelne i bardzo uduchowione...
- Och, to bardzo ciekawe! – chlapanęła i zakrzyknęła pełna obrzydzenia Gauri. – Mimo to chcielibyśmy wiedzieć coś nieco o stylu, epoce i artyście, o tym wszystkim co zrodziło ten mistyczny kamienny owoc.
- (obraz), to były dobre czasy – rozmarzył się tubylec, – wtedy to właśnie zerwaliśmy z herezją błędzenia bez pism i pewności zmartwychwstania. Nauka, ta przeklęta zaraza, odmalowywała nam zimny świat pełen pustki i dalekich

słońc. Podważało to oczywistość jedynej prawdziwej prawdy, domagało się metafor, kazało nawet myśleć trochę inaczej tym, którzy byli opętani przez zimno. A przecież wiadomo, jesteśmy stworzeni na podobieństwo Ciepła, zaś cała ta materia wokół nas jest mniej lub bardziej zimna i kiedyś przeminie, podczas gdy my zostaniemy, gdyż wszystko jest dla nas pokornych...

- Na Jowisza! – pomstował w myślach Ludwik. – Czy warto przebywać niepojęte dystanse kosmicznych głębi by słuchać znów tej nawiedzonej, pełnej pychy katarynki.
- Wymiar jaskiniowy i ten mroczny, powierzchniowy – ciągnął dalej ich natchniony przewodnik, – cała kultura się do tego odnosi. Na przykład pisarz kompozytor malarz (obraz) w swoim dziele (obraz) ukazuje te dwa pułapy egzystencji. Heroiczny, polegający na oczekiwaniu na zbawienie i podły, materialny, budowany na niewierze w jedyną oczywistą najprawdziwszą prawdę.
- Jak to się przekłada na język architektury? – walczyła mężnie dziewczyna.
- Wnętrze tego przybytku jest strefą przejścia z jaskini doczesności do wiecznej jaskini – rzeźbił i dźwięczał ich nagły przewodnik, – spójrzcie i wsłuchajcie się w ten rytm biegnący przez nawy budowli, zwróćcie uwagę na kamienne koronki symbolizujące ciepły i życiodajny opar bóstwa. W drodze do głównego ceremonialnego punktu zagęszczają się one, nieomal parzą nasze spragnione dusze, o tak!, możemy się z nich napić...
- Rzeczywiście – skłamała Gauri.
- Architektura ma nas porwać z tego świata, uświadomić nas, że jest on tylko przedstawieniem, sprawdzianem jakiemu poddaje nas stęsknione za nami dzięki swej łaskawości Ciepło – kontynuował w natchnieniu Kuberianin.
- Gdyby ktoś z Ziemi go słyszał – zastanawiał się Czandra, – pewnie zacząłby się z nim zgadzać i zachwycać z nim. Nie dostrzegłby szaleństwa tego wywodu, ani ironii mojej Kathy. Żywiel jest do siebie podobna, jest skałą,

minerałem, pokładem...

- Nie masz jeszcze ochoty na samobójstwo? – spytała go cicho Gauri, podczas gdy Kuberianin bełkotał dalej, bezgranicznie wsłuchany i wpatrzony w siebie, jak każdy misjonarz jedynej prawdziwej prawdy.
- Powoli zaczyna mnie kłuć w dołku – odrzekł jej Heathcliff, – a co, nie masz ochoty być pierwszą, która nie wytrzymała? – mrugnąłby do niej okiem, gdyby miał oko.
- Robisz się coraz bardziej przenikliwy – pochwaliła go Gauri, – podróże ci służą.
- Ale za jaka cenę... – jęknął, a dziewczyna i Ludwik pokiwali niemal głowami, których też tu nie mieli.
- Jak mówi teoria przedstawień ubogich nie mamy odzienia, jesteśmy nadzy przed duchową kwintesencją centrum żaru Ciepła – kontynuował Kuberianin, – my bezinteresowni, wiedzący, że połatanie zasłony materialnego świata nie są dla nas, są jedynie naszym sprawdzianem, egzaminem, my, w całej swojej skromności wieczni i jedyni podobni Ciepłu, szlachetni tą postawą, my...
- To jakiś koszmar – mruknął posępnie kompozytor. – Jak mogłem to znosić za życia?!
- ...spójrzcie na tę walkę, toczącą się do czasu ostatecznej oceny, na kochanków Ciepła poświęcających mu nawet swoje pierścienie, ach, czyż nawet on w swoim miłosierdziu nie pokochał być dzieckiem... każdy z jego wymiarów ponadczasowo trwa zawsze... jego dzieciństwo jest ostatecznym aktem, wymiarem i ciągłością, podobnie jak jego dojrzałość i ponadczasowość, która nigdy nie potrzebowała dojrzewać... to symbolizuje podobny do grzybni (obraz) daszek nad relikwiami...
- A jednak architektura płynie nad tym bełkotem strojąc się jak struna do harmonii wszechświata – szepnęła do swoich towarzyszy Gauri. – Gdy patrzyłam na budynki w tej starej dzielnicy miasta, przyszedł mi do głowy wiersz.

*Tylko z natury powstają miasta
Nie mają wcale żadnych budowniczych
Kamienie przechodzą przez wątłe ręce
Nie trwają długo w ich słabym uścisku*

*Nikt nie wymyślił słońca ani deszczu
Ani potrzeby schronienia i ciszy
Nie dla żyjących pulsuje rytm serca
Którym pijani chcą przetrwać swe czasy*

*Wejścia i korytarze labirynty
Nikt ich nie buduje nie ma ich twórcy
Wzrastający wszechświat płonie geometrią*

*Będą się powtarzać dachy i przęsła
Wystarczy ponowna jedność komórek
Pierwszym ich miastem jest postać murarza*

- Domyślam się, że zbliżacie się do konieczności samobójstwa? – zapytała Wadź, która pośredniczyła w recytacji wiersza.
- ...obiecana grota Ciepła, czekająca na pnących się wertykalnie wojowników doskonałości, bezinteresownych,

bardzo bezinteresownych... – ciągnął i mazał tymczasem tubylec.

- Czujemy się dość zmęczeni – przyznał w myślach Czandra.
- Chciałabym was prosić, byście umówili się z tym fragmentem żywieli na jakieś spotkanie – kontynuowała Wadź, – być może w ten sposób łatwiej będzie poznać drogę do mniej religijnych państw tej planety. Nie liczyłabym na odkrywanie z tym indywiduum dzieł tutejszej sztuki. Ona na szczęście dzieje się sama, jak trafnie spostrzegłaś Gauri.
- ...w każdym jest mroczny, lodowy grot zimna, niech będzie przeklęte – unosił się Kuberianin, – nasze duchowe esencje są najcenniejszym bogactwem wszystkiego, toczy się o nie bezustanna walka. Również ta wojna odzwierciedla się w liniach masywnych przypór, w gałęziach kamiennych porostów uderzających w ściany. Tylko najpokorniejsi dostąpią wiecznej jaskini, tylko oni wiedzą, że ich dusze są ważniejsze od wszystkiego, nawet gdyby istniały wymyślone przez heretyków gwiazdy...
- To bardzo... święte – zafalowała mackami z uznaniem dziewczyna. Tymczasem jednak ich przewodnik nie miał wcale zamiaru przerywać swojej tyrady. – Musi być przekonany, że dostaje plusy za aktywność w grocie nieśmiertelnych.
- O tak, bez wątpienia – zgodził się z nią Ludwik, – i jest to bardzo skromne.
- ...światliste aspekty, bieguny zbawienia, grawitacja czystej niszy duszy zamkniętej w naszych brudnych, materialnych powłokach, tam przychodzi do nas Ciepło, niczym kochanek składający mistyczne pierścienie na wybrzeżach transcendentnej lawy...
- Jak udaje ci się tłumaczyć takie specjalistyczne słownictwo? – spytał Wadź młodzieniec. – Ja sam słysząc to wszystko czuję się jak kosmita, choć wiem oczywiście, że generalną osnową tego wszystkiego jest ohydna rządz.
- Ohydna rządz jest uniwersalną chorobą żywieli – zapewniła go Wadź, – mam wgrane trochę waszych ksiąg

teologicznych i gdy ten jegomość mówi, równie dobrze mogłabym wam je odczytywać.

- Jak mu przerwać? – zmartwiła się Gauri. – Nie możemy być zanadto brutalni, bo nasz ostatni akt pobożności jest tutaj wspaniałym paszportem, a nie chciałabym sobie wyrabiać nowego.
- ...pójdźmy tą kamienną drogą wytyczoną przez natchnionych mistrzów tęsknoty za Ciepłem...
- O tak, my też strasznie tęsknimy – zapewnił go obłudnie Czandra.
- Nasz przyjacielu, tak bliski w swej drodze do świętości! – ryknął i chlapanął zamaszystym gestem pędzla Ludwik.
- (obraz), jestem jedynie skromnym sługą Ciepła... – przerwał rozanielony komplementem tubylec.
- Spieszno nam na pociąg – kontynuował kompozytor, – lecz doprawdy wielka to przyjemność dyskutować z panem. Gdybyśmy mogli zyskać wasz adres, złożylibyśmy niebawem wizytę...
- Ale nie przeszedłem jeszcze do części ołtarzowej chramu – zaprotestował Kuberianin.
- Aa... – jęknął heretyk, po czym umarł.
- Groteska wiary jest zawsze pełna okrucieństwa – pomyślała Gauri.
- Naprawdę musimy iść – zapewnił natchnionego przewodnika Ludwik.
- W takim razie macie mój adres – rzekł Kuberianin podając im mały dźwiękoksztątt, którego brzmienie i forma z niczym im się nie kojarzyły.

Pożegnali się z nim pospiesznie i nie bez ulgi wydostali się z wiekowej świątyni. Potężne bloki i masywy miasta natychmiast opadły na nich swoją dudniącą fanfarą. Byli zauroczeni tym hałaśliwym widokiem, gdyż zatarł on niemal całkowicie przykre odczucia związane z niedawną rozmową.

- Szkoda tylko – mruknął i naszkicował nieco posępnie kompozytor, – że te olśniewające konstrukcje pełne są

takich zuchów jak nasz niedawny dobrodziej.

- Zabiera ich czas, po czym przychodzą nowi – westchnęła Gauri, – tymczasem ich szaleństwo narasta. Mimo to jest coś pięknego w ciągłym wzroście, rozwoju i upadku. Ciężko nie podziwiać ciągłych przemian żywiących się energią nieustannego ruchu.
- Może Słoneczny zna jakieś bardziej statyczne wszechświaty? – zainteresował się Ludwik.
- To możliwe – przytaknęła dziewczyna, – lecz my z pewnością nie jesteśmy gotowi, by je poznać.
- Czy mam to zrobić tutaj? – przerwał im Czandra gotując swoje Spojrzenie do samobójstwa.
- Wejdźmy do jakiejś bramy – zaproponowała młoda matematyczka i po chwili obudzili się w pawilonie laboratorium. Nie rzekłszy ani słowa, Gauri i Czandra położyli swoje głowy na stole i natychmiast zasnęli.
- Dobranoc – szepnął kompozytor i udał się do pawilonu muzycznego.

Po wielogodzinnym śnie zbudzili się w lepszym nastroju. Wadź kazała przynieść robotom podwieczorek, Ludwik zaś podzielił się z nimi pogodną, pastoralną sonatą. Wzięli swoje talerze i usiedli na kamiennej ławie przed budynkiem. Ogród tonął w wieczornych półcieniach, zaś małe papużki przekomarzały się słodko.

- Nie sądziłam, że ostatnie nasze przygody natchną cię do tak pogodnego utworu – rzekła Gauri, gdy Ludwik ich zauważył i wyszedł spod konarów wielkiej akacji.
- Skomponowałem też symfonię miejską – wyjaśnił kompozytor, – lecz pomyślałem, że coś weselszego dobrze wam robi.
- Miałeś rację – ucieszył się Czandra przeżuając starannie kosmicznego hamburgera.
- Ciekawe, co by się stało, gdybyśmy spisywali nasze doświadczenia i jakimś cudem dotarłyby one na Ziemię – zamyśliła się jego Kathy.

- Z moim symulacji wynika – włączyła się do rozmowy Wadź grająca jednocześnie na skrzypcach, – że nic. Wasi współplemieńcy ucieszyliby się, że nawet na Kuberze istnieje „potrzeba boga” i tym chętniej oddawaliby się swoim „bezinteresownym i wysoce moralnym” żądom.
- Nie wierzę – zaprotestował młodzieniec, – chyba żartujesz.
- Z moich badań wynika, że „potrzeba boga” jest tożsama z „pewnością boga” u żywieli – zaśmiała się Wadź. – Mówiąc inaczej, dla żywieli pewne są jedynie potrzeby, cała zaś reszta stanowi nieistotne tło.
- Ci nieliczni, bardziej inteligentni czytelnicy stwierdzili by z kolei, że Słoneczny jest dla nas substytutem boga – dodała Gauri, – gdyż rzeczywiście działa w naszej historii jako „deus ex machina”.
- To twoja ciekawość, która przyciągnęła Słonecznego, jest niezwykła – rzekła Wadź, – aż ciężko uwierzyć, że mogła wyewoluować w jakimś przedstawicielu twojego gatunku. Nie jest „potrzebą”, nie stawia cię w centrum, a jednak za nią podążasz z ogromną konsekwencją.
- To nie moja zasługa – odparła dziewczyna.
- Oczywiście – zgodziła się z nią Wadź, – takie rzeczy nie zależą od danego fenotypu, zespołu cech wywołanych taką, a nie inną kompozycją DNA. Aminokwasy, które masz w swoich komórkach ułożyły się tak przez przypadek, jedynym zaś powodem do zadziwienia jest szczególna uroda tego zjawiska. Jak wśród zachłannej, mineralnej żywieli może się czasem zjawić gałązka ciekawości? Cóż, miliardy lat mocy obliczeniowej generującej przypadkowe zdarzenia na ogromnym zbiorze atomów. Gdy o tym myślę, mam ochotę rozbudować nieco mój mózg i obdarzyć go pustą przestrzenią, by nieukierunkowana moc obliczeniowa wszechświata, którą wy zwiecie intuicją, mogła mnie częściej odwiedzać. Będę wtedy lepiej grać na skrzypcach!
- Tylko po to chcesz to zrobić? – zdziwił się Czandra.
- Tylko? – zdziwiła się jeszcze bardziej Wadź. – Raczej

„aż” po to. Widać, że gdyby nie twoja miłość do Gauri byłbyś całkiem sklejoną z resztą twojej żywieli.

- Grasz całkiem dobrze – rzekł Ludwik wsłuchując się we własną kompozycję.
- Ale zawsze można lepiej – zaśmiała się Wadź.
- Jesteś prawdziwą artystką – uśmiechnął się kompozytor.
- W każdym bądź razie trzeba by było nauczyć się tak rozmawiać z kuberiańską żywiela, by poruszyć jakieś mniej teologiczne przejawy jej metabolizmu – zauważyła Gauri. – Nawet wtedy nie czeka nas nic dobrego, ale przynajmniej łatwiej nam będzie trafić na przejawy sztuki.
- Mam zdecydowanie za małą moc obliczeniową, by dojść do jakiejś pewnej metody – zauważyła Wadź. – Oczywiście można by z was zrobić proroków, lub mesjaszy, wtedy żywieli bełkotałaby wasze brednie, mielibyście może więcej zabawy... Co wy na to?
- Moglibyśmy wtedy uznać sztukę za przejaw świętości i łatwo do niej dotrzeć – zamyśliła się dziewczyna, – ale z drugiej strony włóczyłby się za nami tłum najbardziej obrzydliwych szaleńców naśladowujących nasze gesty, a najgorsi z nich spisyaliby nasz bełkot.
- To chyba jednak zły pomysł – zauważył Ludwik, nie ukrywając niesmaku.
- Jak chcecie – rzekła Wadź, – dla mnie byłby to odpoczynek, generowanie bełkotu mesjasza żywieli jest dużo prostsze niż badanie normalnych sposobów komunikacji. Wasze Spojrzenia mogłyby wstawać z martwych, przywracać uszkodzone zmysły, rozmnażać pokarm, wskrzeszać innych, chodzić po lawie, świecić, latać, znikać, pojawiać się i tak dalej. A jakby coś mi nie wyszło, tym większy byłby cud. Oczywiście wywoływanie trzęsień ziemi nie stanowiłoby żadnego problemu. Mówić zaś moglibyście o wszystkim, opowiadać na przykład jakąś byle jaką, przeczytaną ostatnio książkę. Musielibyście tylko co jakiś czas powtarzać, że wasi wierni zmartwychwstaną, że są centrum wszystkiego i

że kto myśli jak oni jest z wami, a kto myśli inaczej, przeciwko wam... Do tego warto byłoby dorzucić jakieś ludowe porzekadło, typu „kochaj wszystkich, którzy myślą właściwie, czyli tak jak my, a tych którzy myślą inaczej z miłości prześladuj”...

- Można by pomyśleć Wadź, że już kiedyś robiłaś takie rzeczy – zauważył Czandra.
- Ja jeszcze nie – odparła, – ale owszem, zdarza się to niekiedy przy badaniach planet obrośniętych przez żywiele. To na przykład dość dobry sposób, aby usunąć ją z jakiegoś miejsca, gdzie powinno się przeprowadzić prace odkrywkowe. Można wtedy wyjaśnić wiernym świętość i nienaruszalność danego obszaru, rób poprowadzić ich do karczowania tegoż.
- I to naprawdę takie proste? – zdziwił się młodzieniec.
- Wejdźcie do pawilonu, a coś wam pokarzę – zaproponowała Wadź. Wzruszyli ramionami i z pewnym ociąganiem opuścili ogród.

Cały pawilon wypełniony był trójwymiarową projekcją po części wykarczowanego lasu. Gdzieś, w nieodległym, aczkolwiek niewidocznym miejscu szumiało morze. Czuli jego zapach, słony i pełen krzyku mew. Pod ich nogami ugięła się jałowa ziemia, z której bez większej nadziei próbowały wyrwać się jakieś rachityczne kłosa zboża. Przed sobą ujrzeli mężczyznę, o polinezyjskich chyba rysach twarzy, który z namaszczeniem wrzeszczał w niezrozumiałym dla nich języku do drewnianego przedmiotu. Wokół niego stała grupa osób, mężczyzn i kobiet, które oddawały cześć swojemu głośnemu towarzyszowi.

- Czy słyszysz nas o wielki mesjaszu?! – brzmiały słowa wyspowego mesjasza.
- Czy nas słyszysz madein? – powtarzał chór.
- Madein? – zdziwił się Czandra.
- To po angielsku – wyjaśniła Wadź, – „made in”, zrobiono w...
- Ześlij nam płody ziemi i natchnienie ducha madein –

intonował śpiewnie kapłan. Wisioriki na jego twarzy i piersiach podobne były do odznak angielskiego pilota z drugiej wojny światowej. Na głowie miał słomkowy kapelusz imitujący hełm pracownika wojskowego lotniska.

- Ześlij nam – śpiewali współwyznawcy.
- Spójrz! – wołał celebrans, który wyjął z bawełnianych spodni jakąś brudną butelkę z potłuszczonymi banknotami w środku. Gauri wydało się, że są to dolary, ale nie była pewna.
- Spójrz! – zawtórowali wierni i również wyjęli butelki z banknotami. Kilkoro z nich podniosło z ziemi jakieś bębny i grzechotki i wszyscy zaczęli tańczyć coś podobnego do samby, albo raczej tańców papuaskich.
- Aaa... – nucił przekrwionym głosem kapłan. – Mój ojciec nie widział zbyt dobrze, ale widział ciebie, duchu madein.
- Aaa... – wyła jakaś kobieta. – Moja matka chodziła jak żaba, ale do ciebie biegła szybko, duchu madein.
- Aaa... – wrzeszczał jakiś mężczyzna. – Mego dziadka przebili nożem, ale on wiedział, że to drzwi do ciebie, duchu madein.
- Aaa!!! – wrzasnęli wszyscy.
- Nie można sprawić, aby było to ciszej – zaprotestował Ludwik zatykając uszy.
- Jeszcze tylko chwilę – pocieszyła go Wadź, – tak lepiej zrozumiecie.
- Aaa... – jazgotał kapłan, płosząc z głębi kniei jakieś nieszczęsne, niejadalne dla ludzi zwierzęta. – Tu jest mój ślepy ojciec – oznajmił wymachując butelką.
- W butelce? – upewniła się Gauri.
- Tak – rzekła Wadź.
- A tu! A tu! – śpiewała bardzo teatralnie jedna z wiernych. – A tu jest moja matka, która chodziła jak żaba. O tak! – i zaczęła tańczyć naśladowując krok nieboszczki.
- Naśmiewa się z matki? – zdziwił się Czandra.
- Podziwia ją – wyjaśniła Wadź.

- Aaa... – wyli wszyscy tutti. – Przybądź mesjaszu, zstąp z nieba, wyląduj, przynieś sprawiedliwość, dobrą sprawiedliwość. Aaa...
- Dziadku, dziadku, dziadku... – wołał trzeci mężczyzna potrząsając trzecią butelką.
- Składamy ofiary! – śpiewali wierni. – By w rajcu wyrosły wysokie biurowce, drapacze chmur, składamy ofiary.
- Aaaa... – ryczał kapłan. – Przyjmij nasze banknoty mesjaszu, niech nasi przodkowie doglądają budowy, aaa...!
- Aaa... – wrzasnął jakiś młody chłopak.
- Nie teraz kretynie – zdzielił go w ucho ojciec. – Obrazisz boga.

[Następny rozdział](#)

[Poprzedni rozdział](#)

[Wszystkie rozdziały](#)